

Nagroda im. Pileckiego, epopeja przesiedleńców i nasz uniwersytecki Lwów

Tekst: Jacek Antczak
Zdjęcia: materiały Instytutu Pileckiego

Profesor **Grzegorz Hryciuk** z Instytutu Historycznego otrzymał pierwszą lokatę w kategorii „Naukowa książka historyczna” Międzynarodowej Nagrody im. Witolda Pileckiego za książkę *Przesiedleńcy. Wielka epopeja Polaków, 1944–1946*. Nagrodę tę, przyznawaną przez Instytut Pileckiego i Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu, wręczono po raz czwarty. Z nagrodzonym historykiem rozmawia Jacek Antczak.

Napisał pan książkę *Przesiedleńcy. Wielka epopeja Polaków, 1944–1946*. To dzieło życia?

Mam nadzieję, że jeszcze coś napiszę. Ale na pewno jest to dla mnie podsumowanie wieloletnich badań. Ukłony dla Wydawnictwa Literackiego za cierpliwość i wiarę, że uda mi się tę książkę skończyć. To, że trwało to dłużej niż powinno, ma też dobrą stronę. Dzięki pomocy mojej nieocenionej koleżanki z Instytutu Historycznego, doktor Magdaleny Gibiec, udało mi się dotrzeć do interesujących materiałów ukraińskich, które dzięki temu po raz pierwszy trafiły do czytelników. Mamy tu więc spojrzenie od strony zarówno polskiego aparatu przesiedleńczego czy ludzi przesiedlonych, jak i od sprawców przesiedleń – strony radzieckiej i ukraińskiej.

Od lat dziewięćdziesiątych XX wieku wzrasta w Polsce zainteresowanie Lwowem i Kresami Wschodnimi, o których pan także pisał książki. Podobnie z przesiedleniami.

To całkiem zrozumiałe, a wynika z tego, że na Dolnym Śląsku w latach pięćdziesiątych XX wieku połowa mieszkańców to byli przesiedleńcy z Kresów Wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej. Do dziś w badaniach socjologicznych połowa mieszkań-

ców Dolnego Śląska twierdzi, że ma przodków z Kresów. Wspomnienia przybycia na te ziemie dotyczą więc kilku milionów osób.

Przyjmuje się, że przybyło tu około 800 tysięcy Polaków.

I że mają 4 miliony 600 tysięcy potomków. To są sami przesiedleńcy, ta grupa maleje, ale także ludzie, których rodzice, dziadkowie, nawet pradiadkowie byli przesiedleńcami. Ja zająłem się losami 810 tysięcy osób, które zostały przesiedlone z dawnych województw lwowskiego, tarnopolskiego, stanisławowskiego oraz nienależącej do Drugiej Rzeczypospolitej północnej Bukowiny, która znajdowała się w granicach Rumunii. Ogólna liczba osób przesiedlonych w latach 1944–1946 to około 1 miliona 230 tysięcy osób, stąd tę opowieść można nazwać pierwszym tomem, choć nie wiem, czy drugi tom napiszę. Książka *Przesiedleńcy. Wielka epopeja Polaków, 1944–1946* dotyczy osób, które musiały opuścić małe ojczyzny gdzieś tam na Podolu, Wołyniu i Podkarpaciu.

A pozostali przesiedleńcy, ci z „drugiego tomu”?

To także obecni na obszarze Dolnego Śląska i w samym Wrocławiu przesiedleńcy z Kresów Północ-

no-Wschodnich, czyli gdzieś spod Grodna, Wołkowyska, lecz również Baranowicz, Lidy czy Wilna.

W jaki sposób historyk pisze książkę, która ma trafić do szerszego grona odbiorców, nie tylko do wąskiej grupy badaczy dziejów?

Najpierw gdzieś z tyłu głowy musi pojawić się przymus, że jest pewna rzecz, bardzo interesująca, która dotąd nie została należycie opisana, zbada-na i przedstawiona, a która dotyczy wielkiej grupy osób, które żyją i chcą się dowiedzieć trochę więcej o losach swoich albo swoich przodków. Było w tym wiele „białych plam” i zakłamanych kwestii. Nawet nazewnictwo było przez wiele lat zakłama-ne – walczono o to, by krzywdzące i nieprawdziwe miano „repatriantów” nie było stosowane wobec osób, które znalazły się tu pod przymusem. Ja miałem to szczęście, że zająłem się historią już po przełomie 1989 roku, kiedy łatwiej było dostać się do dokumentów źródłowych, także na terenach, które stanowiły część Drugiej Rzeczypospolitej. To jest ciąg zainteresowań, który mnie związał ze wschodem Rzeczypospolitej, zacząłem bowiem od dziejów Polaków we Lwowie w okresie drugiej wojny światowej podczas okupacji radzieckiej i niemieckiej.

Książka o Lwowie jest nadal dostępna?

Już tylko w antykwariatach, choć może należało-by pomyśleć o jej wznowieniu i poszerzeniu. Sama praca doktorska, na podstawie której powstała, liczyła ponad tysiąc stron, byłaby to więc przesa-da. Współczułem recenzentom, którzy musieli się przez to przebić, ale sam to, niestety, napisałem. A po przyjrzeniu się losom Polaków w tej najważ-niejszej metropolii Kresów Wschodnich razem z grupą moich kolegów z Instytutu Historycznego zajęliśmy się badaniami nad deportacjami ludno-sci polskiej. To kolejny bardzo gorący temat, który wymagał wyjaśnienia. Ludzie pisali swoje wspo-mnienia po raz pierwszy nie do szuflady. Mogli się tym podzielić i mogliśmy to publikować. Myślę, że logicznym następstwem było napisanie o tych lu-dziach, którzy nie zostali aresztowani czy depor-towani i wywiezieni w głąb Związku Radzieckiego, o ludziach którzy zostali wywiezieni w głąb Trzeciej Rzeszy, o tych, którzy nie padli ofiarą ukraińskich nacjonalistów, ale tym razem o tych Polakach, któ-rzy dotrwali do 1944 roku i nagle się dowiedzieli, że te ziemie nie będą Polską. I że stają przed dra-matyczną alternatywą: albo zostać tutaj, na swoje

ojcowiznie, gdzie każda grudka ziemi jest znajoma, gdzie każdy dom, każde drzewo, każdy mur przy-pomina im dzieciństwo i jest tym ukochanym, ale w otoczeniu coraz mniej przyjaznych sąsiadów. I z perspektywą powtórzenia tego, co robiła wła-dza radziecka w latach 1939–1941, a więc repres-sjami, odcięciem od języka, kultury i Kościoła. Czy jechać w nieznane, na ziemie, które nie wiadomo, czy długo będą polskie. Cały wysiłek propagan-dowy władz przesiedleńczych był na to skiero-wany: „Wyjeżdżajcie stąd, wracajcie do Polski, pomagajcie w jej odbudowie”. Ale odbudowywać mieli nowe tereny, przyłączone do Polski dawne obszary Niemiec Wschodnich, teraz zwane Zie-miami Odzyskanymi.

Mamy kultowy film *Sami swoi*, wiemy, że Kargul z Pawlakiem skądś przyjechali, osiedlili się i już tu pozostali. A to nie było takie proste...

Europa stała się wtedy terenem masowych, wielomilionowych ruchów przesiedleńczych. Co wię-cej, spowodowało to zmianę mapy etnicznej, która została dostosowana do mapy politycznej. Byli-śmy więc świadkami i żyjemy ze skutkami wiel-kiego eksperymentu inżynierii społecznej, któ-ra spowodowała przesunięcie milionowych mas ludności z miejsca na miejsce. Wprawdzie w ra-mach tego samego procesu przesiedlenia w latach 1944–1946 na Ziemię Zachodnie i Północne tej nowej, jak ją określano Rzeczypospolitej Ludowej, przyjechało około 1 miliona 200 tysięcy Polaków, a także niewielka grupa ludności żydowskiej ura-towanej z Holocaustu, to w rzeczywistości grupa ludzi, która wywodziła się z Kresów i która cza-sem dość skomplikowanymi drogami do Polski dotarła, według spisu z 1950 roku wynosiła ponad 2 miliony osób.

Okładka *Przesiedleńców. Wielkiej epopei Polaków 1944–1946* wygląda jak zdjęcie ze wspomnia-nych *Samych swoich*: wagony, koza, dziewczynka z wiadrem... W książce opisuje pan dokładnie, co kto ze sobą wziął i jak takie przesiedlenie wy-głądało, dosłownie dzień po dniu.

Próbowałem to opisać, posiłkując się pojedynczy-mi przykładami. A przywiezienie tu czegokolwiek wcale nie było proste. Najpierw trzeba było uzyskać zgodę miejscowych władz na zarejestrowanie swo-jego majątku, a potem była długa i ciernista droga. Bo po załadunku, czasem po wielotygodniowym oczekiwaniu, gdzieś na małych stacyjkach wołyń-

skich czy galicyjskich pojawiali się przedstawiciele miejscowej władzy i pod pozorem przewożenia rzeczy, które nie są dozwolone, po prostu kradli mienie i dobytek ruchomy mieszkańców. Bardzo często się zdarzało, że miejscowe władze nie zgadzały się na wywożenie najcenniejszego majątku ludności wiejskiej, czyli koni i krów, które umożliwiały przecież bezpieczny początek życia na miejscu przesiedlenia. Do tego dochodzi wielotygodniowa podróż koleją, gdy w pewnym momencie brakowało jedzenia nie tylko dla ludzi, ale także dla bydła. Zdarzały się napady niezidentyfikowanych osobników na transporty – zazwyczaj w mundurach czerwonoarmistów. A później, już po przyjeździe do Polski, na punktach rozładunkowych było kolejne, czasami wielotygodniowe, oczekiwanie na

transport do miejsca docelowego. To zdjęcie okładkowe zrobiono w Katowicach-Ligocie. To jest obraz przesiedleńców, którzy przybyli do Polski i musieli koczować – wiele tygodni lub miesięcy, kłęcząc sobie jakieś szałas i żyjąc w potwornych warunkach higienicznych. To, co widzieliśmy w *Samych swoich*, to jest już końcowy

obraz. Można zrozumieć tę ulgę, że w końcu wyrwali się z tego miejsca, ale zazwyczaj dominowały strach i niepewność przed przyjazdem. W 1945 roku wielu przesiedleńców robiło wszystko, żeby ich transporty zatrzymały się na Górnym Śląsku i nie przekraczały linii Odry. Wierzano bowiem, że jeśli Polska obejmie tereny na trwałe, to tylko do linii Odry. Gdyby koniunktura się zmieniła, łatwiej byłoby uciec i bliżej było do miejsc, do których chcieli powrócić.

Czy można było wybrać, dokąd jedziemy: do Wrocławia czy do Trzebnicy?

To było na chybił trafił. Ci, którzy wsiadali na dworcu w Brodach, Stanisławowie, we Lwowie, w Kolumny czy mniejszych stacyjkach typu Pyszkowce

na Podolu, nie mieli bladego pojęcia, dokąd trafią. Jakoś niekonkretnie im wyjaśniano, że jadą na zachód, gdzie będą lepsze warunki życia, ale zupełnie tego nie wiedzieli. Władze nad tym nie panowały. Cytuję fragmenty sprawozdań, które pokazują wielotygodniowe błąkanie się transportów po różnych stacjach i czasem przymusowe wyrzucanie z nich ludzi przez czerwonarmistów. Bo do 1945 roku Armia Czerwona kontrolowała cały transport kolejowy, zwłaszcza na Ziemiach Zachodnich. „Ewakuacja”, jak oficjalnie nazywano przesiedlenia, miała być zorganizowana, a w rzeczywistości był to ruch żywiołowy.

W podrzdziale *Przesiedlona nauka – przypadek wrocławski* jest zdjęcie profesora Stanisława Kulczyńskiego, późniejszego rektora Uniwer-



sytetu Wrocławskiego. Jeden z mitów głosił, że we Wrocławiu prawie wszyscy profesorowie pochodzili ze Lwowa. Tymczasem to niewielki procent lwowiaków. Jeśli chodzi o przesiedlenia ze Lwowa i miano „drugiego Lwowa” na śląskiej ziemi, to mogłyby się także o nie ubiegać Bytom, Zabrze, a nawet

w jakiejś mierze Opole czy Brzeg. To jest kierunek przesiedlenia – wzdłuż linii kolejowej: Lwów–Przemyśl–Kraków–Górny Śląsk–Wrocław... i dalej na zachód.

A nie miał pan takich doświadczeń na studiach: „Idź do profesora X, bo on jest ze Lwowa, to od razu widać”?

Studiowałem w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, już więc, niestety, nie miałem takich doświadczeń, bo kadra *stricte* lwowska już nie nauczała, chociaż ich uczniowie jak najbardziej. Kiedy jednak przeglądałem indeks mojego ojca, który studiował w latach sześćdziesiątych, z całkiem dobrymi ocenami, widziałem tam nazwiska profesorów, którzy przybyli do Wrocławia ze Lwo-

wa. Jego mistrzem był profesor Stefan Inglot, wielka postać i twórca szkoły historii gospodarczej – najpierw we Lwowie, później we Wrocławiu. Jeśli chodzi o kadrę naukową, która w dużej mierze decydowała o „lwowskości” Wrocławia, to trzeba powiedzieć, że ośrodek lwowski był tak duży i prężny, że mimo strat wojennych potrafił obdzielić wiele uczelni powojennej Polski. I prawdę mówiąc, jeśli chodzi na przykład o miano bycia spadkobierczynią Politechniki Lwowskiej, to walczą o to miano Politechnika Śląska z siedzibą w Gliwicach i Politechnika Wrocławska. Biorąc zaś pod uwagę inne jeszcze uczelnie, można powiedzieć, że *gros* profesorów trafiło do Wrocławia. Plan profesora Stanisława Grabskiego, który przekonywał naukowców ze Lwowa do wyjazdu, był taki, by ich osiedlić i skupić we Wrocławiu. I stworzyć we Wrocławiu wielki ośrodek naukowy. I przyglądając się tworzeniu Uniwersytetu i Politechniki, rzeczywiście można powiedzieć, że grupą, która nadawała ton, była profesura lwowska. A także ich uczniowie, którzy razem z nimi przyjechali do Wrocławia. To także administracja, ba, nawet *pedel* uniwersytecki przyjechał ze Lwowa. Mimo że oni nie stanowili stu procent, to jednak około połowy profesorów na nowych uczelniach przybyło stamtąd. Co więcej, w latach pięćdziesiątych, gdy – na model radziecki – nastąpiło rozparcelowanie uczelni poza strukturami uniwersytetu, to właściwie we wszystkich tych uczelniach – późniejszej Akademii Wychowania Fizycznego, Akademii Rolniczej i Akademii Ekonomicznej – najważniejsza była profesura lwowska. Na Akademii Medycznej aż do lat siedemdziesiątych wszyscy rektorzy wywodzili się ze Lwowa. To pokazuje, jakie było znaczenie tego środowiska dla tworzenia nowej nauki we Wrocławiu.

W powieściach Marka Krajewskiego czy Macieja Siembiedy, opartych na faktach, jest mowa o lwowskiej szkole kieszonkowców, która także została tu przesiedlona.

Tak, przyjeżdżali tu wszyscy – tramwajarze, pracownicy zakładów miejskich, listonosze, a pewnie i osoby z półświatka. Był bardzo szeroki przekrój warstw społecznych, a ponieważ byli to ludzie, z którymi często się stykano – jak nie w szkołach czy uczelniach, to na ulicy: w tramwajach, gazowniach czy zakładach energetycznych – to oni wzmacniali mit Lwowa przesiedlonego niemal w całości do Wrocławia.

Bibliografia i źródła pana książki są imponujące, dostajemy bardzo szczegółową wiedzę.

W tej książce oddałem głos przede wszystkim dokumentom. Tworzonym na bieżąco i na gorąco w 1944 i 1945 roku. Relacje i wspomnienia zazwyczaj są późniejsze, mało kto prowadził dziennik, mało kto, choćby w listach, opisywał swoją epopeję. Chciałem także pokazać, że dramat tych ludzi odbijał się nawet w dokumentach urzędowych. Że obie strony miały świadomość, jak to wygląda, jak daleko temu od organizacji i od troski o ludzi.

Przeczytamy w książce również o wyjazdach księży czy zmaganiach o zachowanie dóbr kultury, by je także „przesiedlić” do Polski.

Tu poszedłem tylko śladem profesora Macieja Matwijowa, także z Wrocławia, który opisał dramatyczne walki, by zachować skarby kultury polskiej. Żeby zostały przewiezione tam, gdzie większą miłością i troską zostaną otoczone. Dramatyczne są opisy decyzji wyjazdu księży z Kresów. A księża, zwłaszcza w małych wiejskich społecznościach, odgrywali rolę przewodników duchowych. Władze sowieckie doskonale o tym wiedziały i starały się naciskać na księży, by ci szybkim wyjazdem dawali przykład wiernym. I próbowały łamać ich opór. Były pomysły, częściowo zrealizowane, aresztowań księży. Szykanami i represjami zmuszano do wyjazdów nawet biskupów, a czasem zgadzano się, żeby księża wzięli więcej inwentarza i dóbr oraz wyposażenia kościoła, byleby tylko ich zachęcić do wyjazdu. To się czasem okazywało zbawienne, bo na przykład dominikanie ze Lwowa wywieźli w ten sposób akowskie archiwum. A w skrzyaniach z kościołów wywożono nawet ludzi, którzy nie mogli się przedostać przez granicę. Były również dobra kultury wywiezione nielegalnie dzięki akcji prowadzonej przez profesora Mieczysława Gębarowicza, ostatniego dyrektora lwowskiego Ossolineum, który do końca życia pozostał we Lwowie i był strażnikiem naszych zbiorów.